

# Niespotykanie spokojny człowiek

Rozmowa z ANDRZEJEM STRZELECKIM, aktorem, reżyserem, rektorem Akademii Teatralnej im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie, autorem książki „Człowiek z parawanem”

TYGODNIK  
**ANGORA**

– Pisanie wspomnień to podobno ostatnia broń tych, którzy tracą władzę, wpływy i pieniądze. Pan coś stracił?

– Na szczęście albo na nieszczęście ani jednego, ani drugiego, ani trzeciego nigdy nie miałem w takim stopniu, żebym mógł uznać, że coś mi się nagle wymyka z rąk. Nie mam żadnego alibi, które wiarygodnie uzasadniałoby napisanie tej książki. Podobnie jak poprzedniej osiem lat temu, choć „Człowiek w jednej rękawiczce” powstał w zasadzie z powodów golfowych. Ale nie przypuszczam, abym napisał jeszcze jakąkolwiek książkę.

– Dlaczego? Nawet bezwzględna zawsze w ocenach prof. Anna Kuligowska-Korzeniewska przyznała, że dawno nie czytała zwierzeń artysty teatru z taką przyjemnością. I śmiech w nich jest, i kap, kap, płyną łzy.

– Pani profesor o tym śmiechu i łzach chyba nie wspomniała.

– To akurat jest komplement ode mnie. Pyszne są te pańskie memuary.

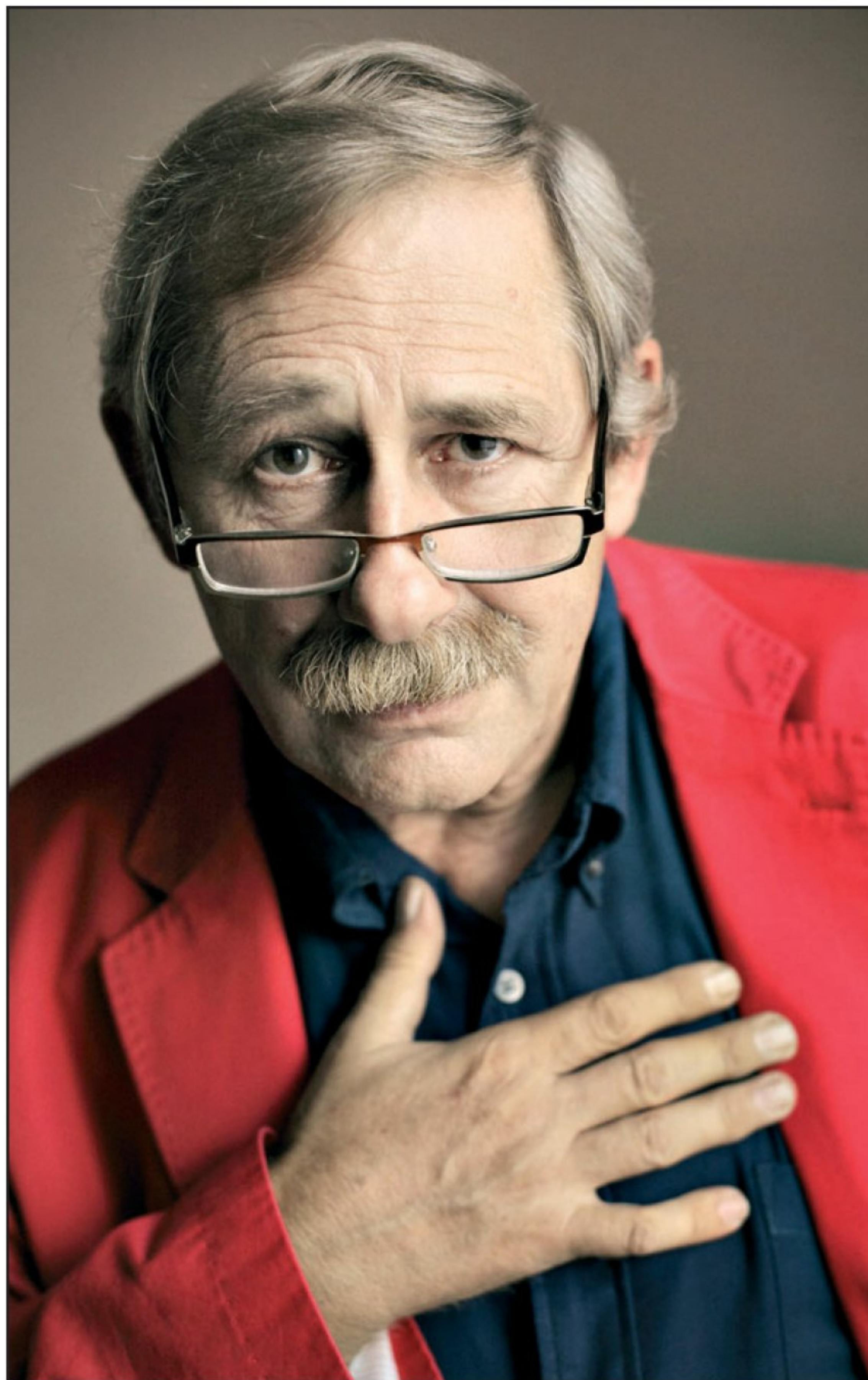
– Dziękuję. Ale nie zmienia to mojego przekonania o tym, że w opowiadaniu o sobie na użytek publiczny jest coś nieskromnego.

– Teraz wszyscy opowiadają – aktorzy, piosenkarze, politycy, pisarze, celebryci. Im bardziej jest to opowieść o życiu prywatnym, tym lepiej. Nie ma miesiąca, żeby w księgarniach nie pojawiła się jakaś nowa autobiografia albo wywiad rzeka.

– I w środku takiej książki są nawet zdania, które składają się z liter! Różni ludzie w różny sposób dyskontują swoją prawdziwą lub domniemaną obecność w świecie publicznym.

– W głosie wyczuwam ironię...

– To może być też autoironia. Jak już się człowiek zabiera za coś takiego, to trzeba przecież założyć, że obdarzanie kogoś własnym życiorysem i przygodami będzie dla tego kogoś interesujące... A cholera wie, czy będzie. Może być tak, jak z pokazywaniem znajomym zdjęć z rodzinnego albumu. O, zobacz! Tu jest nasz ślub, tu nasza pociecha, tu ja z żoną na wakacjach nad morzem... Przy setnej fotce nie wiemy, co ze sobą zrobić, ale musi-



Fot. Krzysztof Żuczowski/Forum

my udawać dalej, że jesteśmy bardzo, ale to bardzo zainteresowani. Poza tym ze mną jest jeszcze ten problem, że przejawiając predylekcję w kierunku przelewania myśli na papier, czynię to zazwyczaj dla teatru, filmu czy telewizji. To są scenariusze oparte na fikcji. W książce zaś korzystam z własnych przygód i spotkań, bo wydaje mi się, że o niczym innym wiarygodnie pisać bym nie umiał. Ale i tak cokolwiek bym napisał, to nigdy nie mogę się uwolnić od wątpliwości, czy napisałem coś, co jest warte lektury.

– Ile siebie sprzedał pan w „Człowieku z parawanem”?

– Pisząc, zawsze się obnażamy.

– Można użyć szkła powiększającego własne zalety albo piórka retuszującego wady.

– Do głowy mi nie przychodzi, żeby kreować własny wizerunek. Książka jest zresztą o mnie niejako w tranzyście, przy okazji, bo o wiele ważniejsi są inni jej bohaterowie. Ludzie, z którymi dobry los mnie zetknął, osoby wybitne, które cenię i podziwiam.

– Czytelnicy brukowców nie znajdą w „Człowieku z parawanem” ani słowa o pańskim, kiedyś bardzo burzliwym, życiu prywatnym. Milczy pan o swojej pierwszej młodzieńczej miłości, o pierwszym małżeństwie, o romansie z...

– Sprostuję. Nie uważam swego życia za bardzo burzliwe. Uważam je za ciekawe i udane. Jeśli zaś chodzi o wszelkie zdarzenia będące pochodną sfery uczuć, to – wybaczy pani – ale nie myślę, aby istniał jakikolwiek powód ich upubliczniania.

– Im bardziej prywatnie, tym lepiej.

– W tych rejonach nigdy nie będzie ze mnie pożytku. Zawsze dziwiły mnie publiczne, obszernie wypowiedzi koleżanek i kolegów na temat ich perypetii z partnerami byłymi i obecnymi. Nie ma przecież takiej możliwości, aby, poruszając delikatny temat odejść, powrotów czy porzuceń, nie zranić kogoś, niekiedy całkowicie niezastuzenie. Osoby, które publicznie buszują we wczorajszych otrębach, myślą przede wszystkim o sobie, a nie o tych, których kiedyś darzyli miłością i szacunkiem. Myślę, że jeśli nawet miłość wyparowała, co się zdarza, to szacunek – nigdy nie powinien.

– Andrzej Strzelecki – kiedyś wzięty reżyser, aktor i satyryk. Kiedyś grał w filmach i spektaklach Teatru Telewizji, prowadził kilkadziesiąt autorskich programów w TVP, teleturniej w Polsce, był dyrektorem teatru Rampa, reżyserował koncerty festiwalowe i gale w Sopocie, Opolu, Wrocławiu, Gdyni... A dziś?

– Niezwykle rzadko biorę udział w produkcjach filmowych. W telewizji ostatnio gram tylko w serialu „Klan”... Jestem pochłonięty pracą w Akademii Teatralnej i na brak zajęć nie narzekam. Chociaż co jakiś czas otrzymuję głupawe propozycje...

– ?...

– Zadzwońta pewna młoda redaktorka i zaprosiła mnie do programu o ojcach w starszym wieku, którym zdarzyło się mieć dziecko. Grzecznie odmówiłem, ale młodzi dziennikarze mają dziś skórę słonia i cierpliwość dziecięcia. Pani redaktor jeszcze kilka razy ponawiała próby. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że używając sformułowania, z którego wynika, że staremu zdarzyło się mieć dziecko, popełnia jakikolwiek werbalny nietakt.

– Chce pan powiedzieć: młody dziennikarz, głupi dziennikarz?

– Świadczy to raczej o czasach, w których żyjemy. A one są takie, że zmuszają ludzi do tego, żeby skakali „na bombę” do basenu, nie sprawdzając, czy jest w nim woda. Za mo-



ich młodzieńcych lat każdy by się w suchym basenie rozbił. Teraz człowiek skacze, otrzepuje się i płynie dalej. Młody dziennikarz strzela ze śrutu, dzwoni do kilkudziesięciu osób, zachęca, molestuje, wszyscy odmawiają, ale wreszcie się udaje. Ktoś coś powiedział, coś z tego powstało i można się było wylansować. A kogo obchodzi, że powstało byle co o byle czym?... Miałem też przygodę z inną bardzo młodą dziennikarką. Ekstremalny przypadek. Podeszła do mnie tuż po spektaklu i zapytała, co myślę o przedstawieniu i czy mi się podoba. Staliśmy dokładnie na tle plakatu tej sztuki, z którego czarno na białym wynikało, że byłem jej reżyserem. Ale to akurat uszło uwadze dziewczynki.

**– Wkurzył się pan?**

– Bardzo rzadko mi się to zdarza. Mam wąską, elitarną listę ludzi, którzy naprawdę wyprowadzili mnie z równowagi i nie jest się łatwo na nią załapać, choć wielu próbowało. Jeśli cokolwiek może objawić się u mnie czymś, co można nazwać nerwami, to tylko skrajna bezradność wobec bezczelności, hucpy, chamstwa, głupoty i agresji razem wziętych. Ostatnio najczęściej zdarza się to w okolicach polityki, jednak mam nadzieję, że tego tematu nie będziemy drażnić.

**– Bo boi się pan PiS-u?**

– Boję się nieprzewidzianych skutków każdej ludzkiej głupoty i nieodpowiedzialności. W jakikolwiek kostium byłyby ubrane.

**– Pańska aktywność zawodowa utknęła w szacownych murach Akademii Teatralnej. Mając taki dorobek, każdy na pana miejscu byłby sfrustrowany i wściekły. Nie buzuje w panu, nie kipi?**

– Niekiedy wydaje mi się, że komuś do czegoś mógłbym się jeszcze przydać, zachowując nawet, być może, znamiona artystycznej skuteczności. Skoro jednak inni nie podzielają tego poglądu, to mogę sobie tylko spekulować. Zdarza się, że widzowie nie tylko przypominają mi moje przedstawienia, ale i niekiedy cytują moje teksty, o których dawno zapomniałem. To miłe. Ale być może jest tak, jak mawiał Stanisław Zieliński: *każdy czas ma swój okres*. Może po prostu minął już mój termin przydatności do spożycia, choć jak przyglądam się mojej metce, to wcale z niej to nie wynika...

**– I profesor Andrzej Strzelecki, od 40 lat nauczyciel akademicki, od ośmiu lat rektor Akademii Teatralnej, naprawdę pogodził się z tym, że dożył czasów, w których gwiazdą się jest, jak się zrobi coś**

**głupiego, a jak zrobisz coś ważnego, jesteś nikim?**

– Na pewno nie wymusi pani ode mnie wyznania, że dawniej było lepiej, że to nasze życie było lepsze czy bardziej wartościowe. Dawniej było po prostu inaczej i dlatego mam inny bagaż doświadczeń i inne kryteria ocen niż młodzi, którzy wychowali się na tabletach, iPhone'ach i innych iPadach. Owszem, coraz mniej z tego ich świata rozumiem, coraz częściej nie wiem, po co robią różne rzeczy, na przykład w teatrze, ale to nie powód, żeby zacząć ich przypiekać żelazem. Życie nienawidzi próżni. To normalne, że każde pokolenie ma swoich liderów i swoich idoli. Moimi byli Erwin Axer, Ryszarda Hanin, Zofia Mrozowska, Jan Kreczmar, Tadeusz Łomnicki, Aleksander Bardini, Andrzej Łapicki, Zygmunt Hübner, Zbigniew Zapasiewicz, Gustaw Holoubek... Mógłbym bardzo długo wymieniać...

**– Przyzna pan: między nimi a niektórymi dzisiejszymi młodymi ludźmi uprawiającymi zawód aktora – bo nie zawsze aktorami – jest przepaść.**

– Między mną a Aleksandrem Bardinim czy Bohdanem Korzeniewskim też był Rów Mariański, i to pod każdym względem, od kultury słowa poczynając, na wykształce-

niu kończąc. Moi profesorowie należeli do pokolenia, któremu wszystko to, co przeczytali, pozostało na ich twardym dysku w głowie. I mieli naturalną, kulturową „instrukcję obsługi”, jak z tej wiedzy korzystać. Teraz często niektórym się wydaje, że wystarczy twardy dysk w komputerze. I nie peszy ich brak jakiegokolwiek instrukcji obsługi... Nie wiem, czego i jak uczyłby dziś Bardini... Kiedyś wyszedł z zajęć piosenki, gdy okazało się, że połowa studentów nie potrafi powtórzyć dźwięku po klawiszu. Dziś by został, bo studenci potrafią naprawdę fantastycznie śpiewać... Łatwość zdania, że „dawniej było lepiej”, nakazuje wielką ostrożność. Dawniej było mi lepiej, bo młodość zawsze jest fajna. Dziś jest po prostu inaczej.

**– Gdyby można było zacząć życie jeszcze raz, wybrałby pan znowu studia w szkole teatralnej?**

– ...Jeśli przypadek ponownie skierowałby mnie w jej progi – to pewnie tak. Ale licho wie... Nie potrafię spojrzeć na swoje życie wstecz bez uwzględnienia obecności tego fantastycznego bagażu, jakim mnie los obdarzył. Nie mam zielonego pojęcia.

**Rozmawiała:  
HALINA RETKOWSKA**